

Zawsze byłam przekonana, że to mnie jest bliżej do upadku. Do kolejnego potknięcia, po którym uderzę kolanami o twardy grunt, słuchając jak moje kości pękają, a ból pozbawia mnie tchu. Byłam pewna, że stoję bliżej tej niezauważalnej krawędzi, którą ludzie przyjęli w swych szeregach pod nazwą granicy wytrzymałości. Niemal widziałam oczami wyobraźni jak czubki moich butów wystają nad przepaścią, a wątp na tle tego niepojętego wszechświata sylwetka, kołysze się pod wpływem wiatru. Silnych podmuchów, które były tylko nieco bardziej ucieleśnioną formą ciosów zadawanych przez życie. Czasem wyobrażałam sobie jak spadam w otchłań przede mną. Jak moje ciało bezwiednie opada w dół ku nicości i czułam przy tym ulgę. Tak dobrze było przestać walczyć o utrzymanie równowagi. Tak łatwo było odpuścić i oddać się mroku. Naprawdę tak prosto, bez trudu było upaść.

W naszym duecie to ja byłam tą młodszą, tą nazbyt emocjonalną, tą zbyt dumną, żeby odpuścić. To ja byłam tą słabszą.

Dorastałam obserwując jak moja o dziesięć lat starsza siostra funkcjonuje w tej szarej rzeczywistości, w której przyszło nam egzystować. Podziwiałam jak na tle wyblakłych kolorów miasta, ona idzie, niemal podskakując, emanując tysiącem ciepłych barw. Jak zgrabnie wdeptuje w kałuże, śmiejąc się jak dziecko, jak każdego dnia patrzy na świat, jakby widziała go po raz pierwszy. Patrzyłam, jak odnajduje się w każdej przydzielonej jej roli, jak wpasowuje się w każde środowisko. Jak przeobraża się z gąsienicy w pięknego motyla, z nastolatki w cudowną kobietę. Zaradną i silną. Dbającą o siebie i zapraszającą innych pod swoje skrzydła.

Dorastałam, mając ją za autorytet. Powtarzając sobie, że chcę być w przyszłości taka jak ona. Narzuciłam sobie wewnętrzną presję, dążąc do bycia osobą, którą nigdy nie mogłam i nie będę mogła być. Bo nie byłam nią. Nie było we mnie tyle wyjątkowości.

Pogoń za tym nieuchwytnym celem mnie wymęczała. Wyniszczała.

Z biegiem czasu zauważałam, że moja siostra była całkiem zwyczajna. Naturalna. Była sobą. Dostrzegałam, że to właśnie ten brak udawania, brak zakłamania w życiu jakie wiodła, tworzył wokół niej otoczkę szczególności. Żałowałam, że nie rozumiałam tego od początku. Może byłoby łatwiej. Mnie. Jej. Nam obu. Może to wszystko zakończyłoby się inaczej.

Otylia Nadzieja Bergel nie lubiła swoich imion, choć ja uważałam je za piękne. Zazdrościłam jej tej nietuzinkowości, znaczenia i przesłania, które za sobą kryły. Nasi rodzice długo starali się o potomstwo. Mijały miesiące, które przeobraziły się w lata, odbierające kawałek po

kawałku ich wiarę, że posiadanie dziecka było im dane. Że zostało zapisane na kartach ich przeznaczenia.

Właśnie dlatego, kiedy na świat przyszła ich córka, mama nie miała wątpliwości jakie imię powinna nosić. Nadzieja miała być symbolem. Żywym świadectwem. Przypomnieniem, że nigdy nie należy tej nadziei tracić.

Tata nie chciał się zgodzić, bo kilkanaście lat wcześniej poprzysiął sobie, że jego córka będzie nosić imię jego zmarłej przy porodzie matki. Nigdy jej nie poznał. Nigdy nie dowiedział się jakie to uczucie – móc wtulić się w jej ramiona, uchronić przed światem. Chciał oddać jej hołd. Sprawić, że jakaś część niej odnajdzie nowe życie. Tutaj na ziemi. Chciał w pewien sposób mieć ją blisko.

Długo się spierali, ale mama zawsze była uległa. W akcie urodzenia zatriumfowała Otylia, choć mama uparcie używała drugiego z imion. W zasadzie wszyscy używaliśmy. Nadzia. Nadziejka. Tak wydawało się bardziej właściwie.

Nadzieja także utożsamiała się z tym imieniem w znacznie wyższym stopniu, bo przedstawiała je jako pierwsze w każdym z towarzyskich spotkań. Nie wszyscy byli świadomi, że w urzędowej rzeczywistości nie figuruje żadna Nadzieja Bergel. Że dla dorosłego świata istnieje tylko ta z Otylią na przedzie, choć nikt nie zwracał się do niej w ten sposób. Nikt poza tatą. Tylko on uporczywie wołał do niej w tej formie. Zwróciłam uwagę, że czasem zaciskał zęby, kładąc szczególny nacisk na to imię, bo denerwował się, że tak zwyczajnie ignorujemy i pomijamy historię, której kontynuację chciał tym imieniem zapisać.

- Nie jestem żywym pomnikiem. – powiedziała raz Nadzieja, kiedy podzieliłam się z nią swoimi wątpliwościami. Zasugerowałam, że być może warto nazywać ją Otylią w obecności taty. Tylko wtedy. Żeby nie sprawić mu przykrości. Szybko zapomniałam o tym pomysle.

Kiedy po upływie dziesięciu lat, na świecie pojawiłam się ja, zupełnie niespodziewanie i zapewne nieplanowanie, moi rodzice nie mieli w zanadru już żadnych oryginalnych pomysłów imion, niosących za sobą szczególne znaczenie. Wykorzystali oba przy pierwszym dziecku zapewne sądząc, przez wzgląd na trudności z jakimi się spotkali, że drugie nigdy nie będzie im dane. Dlatego ja zostałam po prostu Alicją. Zwyczajną Alą bez przesłania, bez jakiegokolwiek historii, którą warto zgłębiać. Bez żadnej wyjątkowości.

Dziesięć lat doświadczenia, którymi Nadzieja miała nade mną przewagę w niczym nam nie przeszkadzały. Nie okazały się przeszkodą w siostrzanych relacjach. Wcale nas nie różniły. Miałyśmy dobry kontakt. Właśnie taki, jaki starsza siostra powinna mieć z tą młodszą.

Nadzieja była moim wsparciem. Moim głosem rozsądku, kiedy przytłoczona nadmiarem obowiązków, chciałam porzucić zarówno szkołę jak i pracę dorywczą i zaszyć się gdzieś w pokoju z głową przykrytą kołdrą. Była oazą spokoju, gdy w moim nastoletnim umyśle panował chaos i rozgardiasz, spowodowany burzą nasilających się i sprzecznych ze sobą emocji. Drogowskazem, kiedy nie potrafiłam zdecydować, dokąd należy się udać. Ciepłym słowem, kiedy wokół panował chłód.

To właśnie Nadzieja mówiła, że czasem nie warto. Że czasem należy odpuścić, zwolnić, pozwolić sobie odpocząć. Od obowiązków, od ludzi, od przytłaczających myśli i uczuć. To ona zapewniała, że mam przed sobą całe życie i za kilka lat to co teraz wydaje mi się katastrofą, kiedyś będzie błahostką. Drobnym szczegółem, którego mogę nie pamiętać. To zawsze ona potrafiła dobierać słowa w sposób, który tworzył z nich swego rodzaju poezję. Proste, miłe wyrazy, wlewające ciepło w duszę człowieka, których chciało się słuchać i których chciało się chłonąć.

To ona była słońcem na pochmurnym niebie. Światłem w ciemności. Odrobiną świeżego powietrza w duszącym dymie. Minutą ciszy po długich godzinach harmidru. To właśnie Nadzieja była dłońią, kurczowo trzymającą mnie za rękę. To ona nie pozwalała mi упаć w dół. To ona stała krok za mną, gdy ja balansowałam na krawędzi. Zawsze była obok. Zawsze dbała, by nie pochłonęła mnie ta przepaść pode mną. Była silna. Tak bardzo, że trzymała mnie i siebie jednocześnie.

To właśnie dlatego uważałam, że jestem bliżej końca. Gdyby ktoś tam u góry podjął całkiem niemoralny zakład, drwiąc z wszelakich ludzkich istnień, zachęcając śmiertelników do wzięcia udziału w zabawie, nikt nie postawiłby na Nadzieję. Nikt nie pomyślałby *Hej! Ona wygląda na słabszą. Ona na pewno ulegnie pierwsza*. Nie. Wszystkie głosy ciążyłyby na szali z moim imieniem, bo i ja nie postawiłabym na nią.

I wszyscy byśmy przegrali.

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? Może nie powinnaś...

- Właśnie, że powinnam. – przerwałam nim zdążył dopowiedzieć to co zatańczyło na jego języku.

Nie patrzyłam na twarz Antoniego. Ignorowałam jego obecność w moim pokoju, ciężar jego spojrzenia na moich plecach. Zwijałam ubrania, upychając je do torby. Broniałam się przed kotłującymi się w moim umyśle emocjami. Czułam ich nadmiar. Czułam jak desperacko pragną wydostać się na powierzchnię, przedrzeć się przez moją skórę. Pulsowały w moich skroniach.

- To tylko zabol cię bardziej.

- Nie pozwolę wrócić mu tam samemu. On... nie da sobie rady. – wyszeptałam, bo głos ugrzązł mi w gardle, kiedy ścisnął je szloch.

Zacisnęłam palce dłoni na materiale starej bluzy. Wyprostowałam sylwetkę, choć moje ramiona opadły. Zamknęłam powieki, blokując wypływ łez, ale te i tak znalazły swoje ujście. Byłam zmęczona płaczem.

- A ty? Ty dasz sobie radę?

Słyszałam w jego głosie bezradność. Nie musiałam na niego patrzeć, by wiedzieć, że właśnie wstaje z krzesła, by podejść bliżej i zatrzymać się dwa kroki przede mną. Czułam jego bliskość. Czułam zawahanie, bo nie był pewien jak daleko może się posunąć. Czy może położyć dłoń na moim ramieniu? Przytulić? Powiedzieć coś jeszcze?

Kręciłam i potakiwałam głową na przemian, targana całym huraganem sprzecznych myśli.

- Nie wiem Antoni. Ja po prostu nie wiem. – wyznałam. – Ale czuję, że właśnie tak należy postąpić.

Słyszałam, jak wzdycha, a później wyzbywając się wcześniejszych obaw, przytulił mnie do siebie, uściskiem niemal pozbawiając mnie tchu. Rozpłakałam się jak dziecko w ramionach przyjaciela, bo życie, które w tamtej chwili wiodłam wysysało ze mnie wszystko co dobre. Nie chciałam tak żyć. Nie chciałam żyć w świecie, w którym nie było już Nadziei.

Kiedy otrzymaliśmy telefon, że znaleziono jej ciało, gdzieś w gęstwinie traw przy pniu starego drzewa, nie uwierzyłam. Na początku nawet się roześmiałam. Krótka i niekontrolowana. Kręciłam głową, odtrącając od siebie bodźce zewnętrzne. Zamykając się w jakimś obłędzie.

- Nie. Nie. To niemożliwe. Na pewno nie Nadziejka. To głupia pomyłka. – powtarzałam wtedy w zapętleniu jak mantrę. – Na pewno nie Nadziejka.

Nie pamiętałam okresu pomiędzy dniem, w którym dowiedzieliśmy się o jej śmierci a dniem pogrzebu. Nie potrafiłam określić jak długo trwało. Co działo się w poszczególnych dniach tygodnia. Nie miałam pojęcia jak i kiedy jej zwłoki zostały sprowadzone do kraju ojczystego. Jak wiele dni zajęła jej podróż do domu rodzinnego, by móc wreszcie spocząć w rodzimej ziemi. Nie pamiętałam przygotowań, nie pamiętałam wszystkich sztywnych formalności, których należało dopełnić. To wszystko zlało się w jedną, czarną plamę. Przepłakałam cały ten czas, ukrywając się we własnym łóżku, w zaciemnionym pokoju. Krzycząc przez sen w poduszki, wydzierając się i przeklinając świat za jego niesprawiedliwość. To ja byłam słabsza. Dlaczego ciągle jeszcze balansowałam na krawędzi, kiedy ona zdążyła upaść?

Nadziejka osiem lat temu poznała chłopaka, który okazał się być miłością jej życia. Po upływie trzech wyjechał, zostawiając za sobą wszystko co dotąd było im znane i bliskie. Zostawiając także mnie.

Skłamałabym mówiąc, że nasz kontakt nie uległ zmianie, kiedy dzieliły nas tysiące kilometrów. Ale wciąż byliśmy blisko. Wciąż rozmawialiśmy. Pisałyśmy niemal każdego dnia. Dzwoniłyśmy każdego tygodnia. Opowiadałyśmy o swoich osobnych życiach, które wiodłyśmy. Tęskniłyśmy. Te dwa razy do roku, kiedy wracała do Polski, by przez tydzień przypomnieć sobie jak to jest być blisko rodziny, zupełnie nam nie wystarczały.

Coś w naszej relacji ulegało zmianie. Przejawiało się tylko w drobnostkach. W zaskoczeniu, kiedy wysyłałam zdjęcie, a ona pytała, gdzie jestem. Nie знаła mojej codzienności. Przejawiało się w niewiedzy, kiedy wysyłałam pięć wiadomości, na które nie odpisywała, więc wysyłałam kolejnych pięć jakby to miało coś zmienić, a ona dalej milczała będąc w kolejnej pracy, o której nie miałam pojęcia. Przejawiało się w słowach i dziwnych zwrotach, których wcześniej u niej nie słyszałam i które były do niej zupełnie niepodobne. W jej komentarzach odnośnie mojego wyglądu. *Twoje włosy tak urosły... Strasznie schudłaś.* Nie widziała mnie już na co dzień. Za każdym razem, kiedy się spotykałyśmy, obie byłyśmy innymi osobami.

Odwiedziłam ją w jej nowym mieszkaniu zaledwie dwa razy. Raz na dwa i pół roku. Zobaczyłam miejsce, w którym mieszkała, na własnej skórze przekonując się, dlaczego uporczywie tam wraca. Irlandia była piękna. Była wspaniałą wyspą, w której można było

zakochać się bez opamiętania. Ale była obca. Bez bliskości, bez rodzinnego ciepła, które czekało na nią w domu. W Polsce.

Kiedy pięć lat temu stałam na lotnisku, żegnając ich przed wylotem, moje oczy były napuchnięte od płaczu. Ścisłałam ich mocno, chcąc zatrzymać przy sobie na dłużej, mając świadomość, że właśnie kończy się pewien etap. Zdawałam sobie sprawę, że Nadziejki nie będzie już blisko. Że nigdy więcej nie przyjdę do niej po szkole, nie chcąc wracać do rodziców po kolejnej sprzeczce. Że nie dostanę kubka z gorącym kakao na pocieszenie, po długich godzinach wypłakiwania się w jej rękaw. Że nie włączę kolejnego głupiego filmu, żeby załagodzić mój nastrój. Że nie upieczemy wspólnie żadnego ciasta i nie objemy się nim do bólu żołądka, tylko po to by później narzekać na to okrutne uczucie ciężkości.

Teraz rozpadałam się na kawałki, bo ostatnia szansa na to, że kiedyś będzie normalnie, przepadła. Nadziejka miała już nigdy nie wrócić. Miała nigdy więcej nie pogłaskać mnie po plecach, nie przytulić, nie postawić przede mną talerza ze zbyt słonym obiadem, nie namawiać mnie do picia półsłodkiego wina.

Na pogrzebie nie weszłam do kaplicy. Nie, dopóki trumna nie została zamknięta, bo nie chciałam jej zobaczyć. Nie chciałam widzieć jej martwej.

Chciałam zapamiętać ją taką jaką była. Przed wyjazdem. Przed dniem, w którym nasze drogi się rozeszły. Pełną życia. Pełną tej dziwnej wyjątkowości.

Teraz pakowałam się w dniu poprzedzający mój wylot. Igor musiał wrócić do Irlandii, by zamknąć wszystkie wspólnie przez nich rozpoczęte sprawy. Musiał zrezygnować z pracy, sprzedać mieszkanie, spakować swój dobytek. Musiał wrócić do przeszłości, do miejsca przesiąkniętego obecnością Nadziei, do bólu straty jakiego doświadczył. Wszystko po to, by móc wrócić z powrotem tutaj. Uciec od miejsca, w którym przez ostatnie lata byli szczęśliwi. Spróbować wyleczyć rany.

Leciałam razem z nim, bo nie chciałam by stawiał czoła temu wszystkiemu sam. Bałam się, że może tego nie wytrzymać. Że on również może upaść.

- Wrócę ani się nie obejrzysz. – chrypnęłam w materiał bluzy Antoniego. – Jakoś sobie poradzę.

Kłamałam. Nawet mnie trudno było w to uwierzyć.

Nie rozmawiałam z Igozem przez całą drogę na lotnisko. Nie zamieniliśmy też słowa w trakcie dwu i półgodzinnego lotu. Dopiero po wylądowaniu poprosiłam, by poczekał na mnie na korytarzu, kiedy ja chciałam skorzystać z toalety. Mdlilo mnie od kilku godzin. Mój żołądek ścisnął się, a ciało atakowały nieprzyjemne fale gorąca. Nie byłam na to wszystko gotowa.

Zakręciło mi się w głowie, kiedy przekraczając próg mieszkania, w którym miałam okazję gościć zaledwie półtora roku temu, uderzył mnie dziwnie znajomy zapach. Musiałam zaprzeć się dłońmi o ścianę, by nie upaść na podłogę. Mrugałam gwałtownie, walcząc z mroczkami, które mąciły przed moimi oczami.

- Wszystko w porządku?

To były pierwsze słowa Igora, skierowane ku mojej osobie w przeciągu kilkunastu ostatnich dni. Pierwsze od kiedy usłyszałam ciche, rozrywające serce *dziękuję*, gdy ścisnął mnie za rękę, okazując wdzięczność. To wtedy zadeklarowałam, że przylecę tutaj razem z nim. Że zostawię to wszystko co trzymało mnie w Polsce i przylecę, bo nie pozwolę, by mierzył się z tym cierpieniem sam.

- T-tak. W porządku.

Kolejne kłamstwo. On też o tym wiedział. W ostatnim czasie wszyscy byliśmy kłamcami.

Rozejrzałam się po salonie. Chłonełam wzrokiem półki przykryte warstwą kurzu, z ukłuciem bólu w klatce piersiowej stwierdzając, że nie ma na nich już ani jednej ramki. Żadnej fotografii, z której patrzyłaby na mnie uśmiechnięta twarz Nadziei. Schował je wszystkie. Spojrzałam przelotnie na jego odwróconą plecami postać, nie wiedząc czy być wściekłą za to, że dokonał tego tak prędko, czy go żałować, domyślając się jak wiele wysiłku i rozpaczy musiało go to kosztować.

To właśnie wtedy zaproponowałam, że zajmę się porządkami w salonie, aby on nie musiał tego robić. Przeglądać jej rzeczy i decydować, które z nich warte są ocalenia. Nie wiedziałam, dlaczego założyłam, że akurat mnie będzie łatwiej.

To właśnie, kiedy następnego dnia ściągałam z półek zbiór książek, który Nadzieja utworzyła przez lata maniakalnego zakupywania tanich egzemplarzy na stronie internetowej, znalazłam ten dziwny zwitek papieru. Siedziałam w pustym mieszkaniu, kiedy Igor zostawił mnie w nim samą, by stawić czoła swoim pracodawcom. Ścierałam wierzchem dłoni kurz z okładek, przekartkowałyłam tomy, zatrzymując się przy pojedynczych stronach, oznaczonych

kolorowymi znacznikami. Układałam je starannie w kartonie opisanym niezgrabnie słowem *biblioteka*. Chciałam przekazać całą kolekcję w dobre ręce. Nie potrafiłabym wyrzucić ich na śmietnik.

Nadzieja była miłośniczką literatury. Spędzała długie godziny zatopiona w lekturze, przykrywając się szczelnie kocem i popijając w przerwie pomiędzy jednym akapitem a drugim, gorącą herbatę z cynamonem i goździkami. Zawsze opowiadała mi czytane historie. Pożyczała swoje książki, zakazując zaginania rogów i podkreślania czegokolwiek, choćby ołówkiem. Denerwowała się, widząc nieznaczne poniszczenia na grzbiecie czy plamy po kawie na kartkach. Traktowała je z szacunkiem, którego niejednokrotnie człowiek nie potrafił okazać drugiemu człowiekowi.

Igor nie do końca rozumiał zafascynowania światem wymyślonym, ale dzielnie znosił jej entuzjazm. Kupował dla niej kolejne egzemplarze z listy książek, które chciała przeczytać, a którą specjalnie zostawiała na widoku, by w każdej chwili mógł na nią spojrzeć.

To właśnie dlatego od początku byłam pewna, że złożony na sześć części arkusz papieru, wsunięty gdzieś pomiędzy stronice jednego z tomików literatury piękna, był zaadresowany dla mnie. Przeznaczony tylko i wyłącznie dla moich oczu. Igor nigdy nie interesował się książkami. Nigdy ich nie czytał, choćby po to by sprawić Nadziei przyjemność. Nigdy nawet ich nie oglądał. To z tego względu, czytałam ten dziwny wstęp, zapisany zgrabnym charakterem jej pisma, wiedząc, że kreśliła go z myślą o mojej osobie. Tylko ja mogłam go znaleźć.

„Kiedy tajemnica pozostaje niewyjawiona nie z braku słuchacza, lecz z braku zrozumienia...”

- *Cztery pory roku, Stephen King*

Balam się tego braku.

Moje serce uderzało w szaleńczym tempie o żebra. Kartka była wydrukiem. Niewyraźną mapą z zaznaczonymi fioletowym flamastrem punktami. Rozpoznawałam każdy z nich, bo do każdego zabrała mnie półtora roku temu. Często je odwiedzała. Wiedziałam o tym, bo ciągle o tym wspominała, gdy rozmawialiśmy.

Moje szczęśliwe miejsca.

Zapisała starannie na górze kartki. Wodziłam wzrokiem po konturach, po nazwach ulic, parków. Opuszkami palców muskałam szorstki papier, nie czując jak łyzy spływają po moim

policzku, dopóki nie zakończyły swojej podróży na jego nawierzchni. Spoglądałam jak nieduża plama słonej wody rozmywa tusz.

- O co chodzi Nadziejko? – wyszeptalam wtedy sama do siebie, ocierając mokrą twarz nawierzchnią dłoni. – Dlaczego to zrobiłaś?

Nocą nie spałam, wyciągając co jakiś czas zwitek papieru i po raz kolejny uporeczywie przypatrując się w świetle słabej lampki nocnej, zaznaczonym punktom. Przypominając sobie poszczególne miejsca i uśmiech na twarzy Nadziei, kiedy zabierała mnie na długie spacer, by pokazać je wszystkie. Jej śmiech rozbrzmiewał w mojej głowie, odbijając się echem i przyprowadzając o ból w skroniach. Nie powiedziałam Igorowi o mapie. Nie chciałam mu jej pokazywać. Chciałam, dość egoistycznie, odwiedzić każde z tych miejsc w pojedynkę. Jeszcze raz. Spróbować spojrzeć na nie z perspektywy Nadzi, odszukać w nich to co ona już znalazła. Spróbować zrozumieć. Ją, jej życie. Jej niespodziewaną śmierć.

Pierwszego dnia przyszedłam do przystani. Szłam wzdłuż Mariny, wsłuchując się w przyjemny dźwięk żagli, sznurów i dzwonek, które rozbrzmiewały jak kojąca melodia pod wpływem uderzeń wiatru. Łodzie przycumowane do pomostów, kołysały się na wodzie, a ja wdychałam świeże morskie powietrze. Szłam tak jak za pierwszym razem, kiedy Nadzieja prowadziła mnie dalej wzdłuż zatoki. Uśmiechałam się do ludzi, którzy wołali do mnie, krótkie: *cześć*. Rozglądałam się, chłonąc wzrokiem widok bezkresnej, wzburzonej wody. Fale rozbijały się o brzeg, a ich brzmienie, uspokajało chaos w moim umyśle.

Ominęłam Brompton Bay, podążając prosto do Smelt Mill Bay. Poprzednim razem usiadłyśmy na skałach, popijając ciepłą kawę z jej ulubionej kawiarni i zagryzając ją miodowym pączkiem, któremu nie potrafiła się oprzeć. Dużo rozmawiałyśmy, ciesząc się swoim towarzystwem i spokojem, bo wokół nie było nikogo. Nikt nie przysiadł tu na dłużej.

Teraz również to miejsce było puste. Usiadłam tam, gdzie poprzednio, przyciągając kolana do piersi i nie zmieniając swojego ułożenia przez kilkadziesiąt kolejnych minut. Patrzyłam na linię wody, której granica z niebem tak swobodnie się zacierала. Myślałam. Wyrzucałam w powietrze miliony pytań, na żadne nie uzyskawszy odpowiedzi. Rozglądałam się w ich poszukiwaniu. Wyciągnęłam mapę z kieszeni kurtki, zbliżając ją do oczu w nadziei, że przeoczyłam jakiś szczegół, jakąś wskazówkę.

- Po co to wszystko? – spytałam po raz kolejny rozplakując się z bezsilności. – Po co miałam tutaj przyjść?

Odeszłam. Wiatr wysuszał łzy z moich oczu, a ja przyspieszałam tempa, chcąc znaleźć się jak najszybciej w domu. Zatrzymałam się gwałtownie, widząc znak. Niewielki, drewniany, dotknięty palcem czasu. Strzałka wskazująca ścieżkę, prowadzącą w dół. *Skipperstone Beach*. Miejsce, w którym Nadzieja uwielbiała ukrywać się przed światem. Nieduża plaża, ukryta przed oczami przechodniów za gęstwiną traw i krzewów. Przy zwałisku piachu stała metalowa budka z lichą ławką w środku i estetycznymi, finezyjnymi zdobieniami na zewnątrz. Usiadłam tak, jak ona siadała w niej zawsze, wpatrując się w skalistą plażę, nad którą latały mewy. To właśnie wtedy dostrzegłam ją kątem oka. Cienką, fioletową wstążkę przywiązaną do budki gdzieś na wysokości kostek, by nikt nie mógł jej zauważyć. Porywana przez wiatr, uderzała o piasek.

Schyliłam się z zaleńczo bijącym sercem. Chwyciłam ją pomiędzy palce, by udowodnić sobie jej prawdziwość. Gładziłam delikatny materiał, wpadając w pewien obłęd. Nerwowo rozglądałam się wokół, dłońmi błędząc po piasku, po kępach trawy, po brudnych, zakurzonych szczelinach konstrukcji. Aż wreszcie natrafiłam. Zdjęcie polaroid, którego Nadzieja uwielbiała równie mocno co książki. Kochała robić zdjęcia małym, pięknym rzeczom, których urok potrafiła dostrzec tylko ona.

Na zdjęciu widniała budka. Dokładnie ta, w której w tamtej chwili siedziałam. Niebo w tle było pochmurne i tylko nieśmiałe słoneczne pasma, próbowały przedrzeć się przez chmury. Na odwrocie czarny tusz układał się w tytuł zapisany jej charakterem pisma.

„W sercu kraju”, John Maxwell Coetzee.

Pobiegłam do domu. Zrzuciłam z ramion kurtkę, zepchnęłam buty w kąt. Przykucnęłam obok kartonu do połowy zapełnionego już książkami. Szukałam. Przewracałam. Burzyłam ład, nad którym tak skrupulatnie pracowałam. W końcu znalazłam. Stary, poniszczony tom. Kilka kolorowych znaczników. I tylko jedna fioletowa karteczka. Zaczęłam traktować ten kolor jako znak. Przewodnik.

Przewracałam trzęsącymi się dłońmi strony, nadrywając nieumyślnie jedną z kartek. Aż wreszcie odnalazłam zakreślony fioletowym markerem fragment.

„Wnikam we własną duszę i nie widzę żadnego powodu, by stąd wyjść. (...) Nie widzę żadnego powodu, by znów otworzyć oczy.”

Nie rozumiałam. Nie rozumiałam znaczenia tych słów, nie rozumiałam wskazówek, nie rozumiałam mapy, która miała być wiadomością. Nie rozumiałam gry, którą stworzyła moja siostra. Nie rozumiałam jej reguł.

Ale ją podjęłam.

Drugie zdjęcie znalazłam na Ballyholme Beach. Wciśnięte w szczelinę w murku, przez którą widać było zatokę, a Nadzieja zawsze zachwycała się tą drobnostką, za każdym razem robiąc jej zdjęcia, choć ta nieszczególnie się zmieniała. Może dlatego nie zdziwiło mnie, że polaroid także przedstawia dziurę pośród kamieni. Jego odwrót krył tytuł „Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną” Doroty Masłowskiej.

„Otóż raptem nie ma kolorów na świecie. Nie ma. Brak. Kolory przez noc zostały ukradzione. Lub cokolwiek. Może wyprane. Może wyprali ten krajobraz, pejzaż za oknem w pralce automatycznej w nie bardzo tym, co trzeba, proszku.”

Odłożyłam to zdjęcie obok drugiego, zgniatając je stosem książek tak by Igor nie mógł ich odnaleźć. Ruszyłam po następne.

Trzecie czekało na czubku wierzy Scrabo Tower. Wspinałam się po schodach, podążając na taras widokowy. Wpadłam w panikę nie potrafiąc znaleźć wskazówki. Obchodziłam wierzę kilkakrotnie. Aż w końcu znalazłam. Przyczepiona na drewnianej belce poddasza w miejscu, w którym dachówka nieestetycznie się wyszczerbiła.

„Chcę tylko spać, jedynie wtedy czuję się dobrze, jedynie w tym stanie nic nie czuję. Ale jak na złość nie mogę spać, jestem umęczona i to już od lat. Czy już zawsze tak będzie? Jeśli tak, to ja wysiadam, dziękuję za takie atrakcje.” – Agnieszka Turzyniecka, „Dziewczynka z balonikami”.

Czwarta fotografia znajdowała się w Crawdorsburn Country Park. Szłam przez godzinę wzdłuż zatoki, by dotrzeć do parku. Później podążałam szlakiem, którym wcześniej prowadziła mnie Nadzieja, modląc się w duchu, abym niczego nie pomyliła. Wiedziałam, dokąd pójść. Nadzia uwielbiała patrzeć na wodospad. Siadała na murku tego dziwnego tarasiku, do którego prowadziły drewniane schody i oddychała z ulgą. Nie odrywała wzroku od spływającej wody, wsłuchiwała się w jej szum i uśmiechała bez troski.

- Lubię tu być. Dźwięk płynącej wody mnie uspokaja. – powiedziała mi kiedyś a ja tylko przytaknęłam.

Piąte zdjęcie znalazłam w tym samym miejscu. Na Crawdorsburn Beach. Plaży, na którą udawała się za każdym razem po wędrowce pośród lasu. Znajdowała się zaledwie kilka mil dalej. Stawała wtedy na piasku, nogą trącąc kamienie, które zatoka wyrzuciła na brzeg. Czasem nachylała się i zbierała je z zachwytem wycierając brud. Niektóre zabierała do domu. Mówiła, że to na pamiątkę.

Do domu wróciłam późno. Zapadał zmierzch, a Igor zdążył zjawić się w mieszkaniu przede mną. Pytał, gdzie byłam tak długo, ale ja zbywałam go milczeniem i posępnym kręceniem głowy. Chciałam już tylko odnaleźć fragmenty. Kolejne elementy układanki. Kartkowałam książki, nie zwracając uwagi na jego czujne spojrzenie. Pełne niepokoju i niezrozumienia. Dalej nie chciałam mu mówić. Nie dopóki sama nie poznam prawdy. Dopóki nie doprowadzę gry do końca.

Usiadłam plecami do niego, by zasłonić polaroid wodospadu. Zdjęcie, które kryło za sobą kolejne, przyspieszające bicie mojego serca, słowa.

„Nigdy nie popadałam w depresję w dni takie jak ten, zachmurzone, szare, zimne. Wtedy czułam, że natura współgra ze mną i odzwierciedla moją duszę. Lecz kiedy pokazywało się słońce, kiedy dzieci zaczynały się bawić na podwórkach i wszyscy cieszyli się piękną pogodą, ja czułam się fatalnie. Jakby mnie spotkała jakaś niesprawiedliwość, że nie uczestniczę w tym wszystkim.” – Paulo Coelho, „Weronika postanawia umrzeć”.

I następne.

„Przychodzi taki czas w życiu, kiedy niczego nie można być pewnym. To co się wiedziało wcześniej, wydaje się błędne lub niezrozumiałe. To wszystko wali się, całe moje jestwo, bycie, kruszy się, rozpada, i nie można pozbierać kawałków. Następnego dnia trzeba wstać z łóżka jako względna całość i funkcjonować, by nie odwieziono do psychiatryka” – Barbara Rosiek – „Pamiętnik narkomanki”.

Piątego dnia poprosiłam Igora o samochód. Patrzył na mnie w milczeniu, ze zmieszaniem wymalowanym na twarzy. Błądził spojrzeniem wokół mojej postaci, nie chcąc podejmować ze mną kontaktu wzrokowego.

- Po co? Dokąd chcesz jechać?

- Muszę udać się w jedno miejsce.

- Przecież nigdy nie kierowałaś tutaj samochodem. Mówiłaś, że nie potrafiłabyś odnaleźć się w ruchu lewostronnym.

- Tak, ale teraz wiem, że sobie poradzę.

Kłamstwo. Jeszcze jedno, wypowiedziane bez mrugnienia okiem. Przychodziły tak łatwo, choć wewnątrz szalałam ze strachu.

- Dokąd ciągle wychodzisz, Alicjo? Czemu ciągle znikasz? Co się dzieje?

Wtedy to ja spuściłam wzrok, kuląc się pod ciężarem jego wzroku. Nie chciałam odpowiadać. Pozwoliłam, by jego pytania wypełniły pokój po brzegi, pozbawiając mnie jednocześnie tchu. Ale milczałam, doskonale zdając sobie sprawę jak wielką krzywdę mu wyrządzam.

Igor wypuścił powietrze z rezygnacją. Wyszedł z salonu, a kiedy i ja odetchnęłam głośno, wreszcie przestając wstrzymywać powietrze, on wrócił. Wcisnął kluczyki od samochodu do mojej dłoni, utrzymując ze mną ten kontakt cielesny o kilka sekund za długo.

- Mam nadzieję, że wiesz co robisz. – powiedział z troską i żalem zmieszonym w głosie. Później ponownie wyszedł, pozostawiając mnie z pulsującym w skroniach poczuciem winy.

Droga do Newcastle zajęła mi dwie godziny. Jechałam ostrożnie, skupiona na drodze i mechanicznym głosie nawigacji. Zatrzymałam samochód na parkingu, płacąc za postój. Zarzuciłam na plecy plecak, a jego wnętrze zaszeleściło przy zderzeniu z moim ciałem. Zabrałam ze sobą termos z gorącą herbatą, kanapkę i paczkę kruchych ciastek. Szłam szlakiem wyznaczonym czarną strzałką. Doskonale pamiętałam jak poprzednim razem Nadzieja i Igor klócili się czy należy podążać właśnie za tym, czy należy wybrać niebieski. Okazało się, że to Nadzieja miała rację. W gruncie rzeczy znała te góry jak własną kieszeń. Choć nigdy tą wiedzą się nie obnosiła.

Wędrówka trwała trzy godziny. Wspięłam się na szczyt, z którego rozpościerał się widok na inne wzniesienia i co kiedyś wydawało mi się absurdalne, morze dziwnie współgrające z górskim krajobrazem. Usiadłam na ławce, zarzucając kaptur na głowę, który miał chronić mnie przed zimnym wiatrem. Wypiłam gorący napój, zjadłam swój prowiant. Naładowałam baterię przez moment zapominając po co znalazłam się w tym miejscu.

Zdjęcie także chowało się pod ławką. Przyklejone do drewnianej belki, zakurzone już od piachu, czekało na swoją kolej. „*Po prostu mnie przytul*” – *Kaja Platkowska*.

„Wpadłam w moją wewnętrzną histerię. Nie krzyczałam, nie płakałam głośno, nie biegałam i nie wyrывałam sobie włosów z głowy. Po prostu w jednej chwili coś we mnie stłukło się i przyrosłam do chodnika, nie mogąc zrobić kroku do przodu.”

Pożyczyłam od Igora samochód raz jeszcze. Tym razem dał mi go bez pytań, bez wątpliwości. Jechałam nad morze wzdłuż wybrzeża. Mapa Nadziei prowadziła mnie do Portrush. Na plażę, którą otaczały klify, zachwycając swoją wielkością, swoją potęgą. Do miejsca, które było wyjątkowo i nienaturalnie zaciszne, choć na morzu panował sztorm. Stojąc na mokrym piasku czułam się mała, samotna i bezbronna. Nic nie znacząca w obliczu potęgi natury.

Znaleziona fotografia krzyczała nazwisko Elizabeth Wurtzel i tytuł „*Kraina prozaca*”. Książka, w której nie było fioletowego znacznika. Książka, w której były ich aż trzy. Zaznaczające trzy oddzielne fragmenty, które chłonęłam z rosnącym w umyśle natłokiem emocji.

„Potrzebuję jakiejś ochrony. W tej chwili nie widzę światła w tym tunelu i nie potrafię wyobrazić sobie spokoju wewnętrznego i całego tego gówna i wycofuję się. Nie chcę dłużej cierpieć. Gdybym była alkoholikiem, powiedziałabym, że chcę drinka, ale ponieważ nie wiem, kim jestem, nie wiem czego chcę. Ale chcę tego natychmiast.”

I dwa następne, które przyprowadziły mnie o skurcze żołądka i zawroty głowy z każdym kolejnym czytany słowem.

„Depresja nie jest nagłą katastrofą. Przypomina raczej nowotwór. Początkowo obca, wroga masa jest niedostrzegalna nawet dla uważnego obserwatora, aż tu nagle – trach! – okazuje się, że masz wielką, siedmioletnią bulwę w mózgu, w brzuchu, w wątrobie i to coś, co twoje ciało wyprodukowało, naprawdę próbuje cię zabić.”

„Terminu „depresja” używa się i nadużywa ostatnio, ale nigdy w związku z czymś dzikim, szalonym, nigdy w odniesieniu do kogoś, kto przetańczył całą noc z abażurem na głowie, a potem poszedł do domu i się zabił.”

Płakałam. Siedziałam na środku salonu, zanosząc się szlochami i krztusząc się nim jak dziecko. Nie chciałam dalej szukać. Nie chciałam dłużej grać w tą grę, bo im więcej wskazówek znajdowałam, im więcej czytałam, tym gorzej czułam się ze świadomością, że byłam winna. Wszyscy byliśmy winni. Przecież nikt nie zauważył, że pod tym uśmiechem, pod głosem wypowiadającym miłe słowa, pod błyszczącymi oczami, kryje się cierpienie. Tak

bardzo przyzwyczailiśmy się, że Nadzieja pomaga nam w niedoli, że zapomnieliśmy, że jej też ktoś musi pomóc. Nikt nie zauważył, że ona też toczy walkę. Cichą, bezdźwięczną, niewidoczną. Nikt się nie zorientował.

Pojechałam do Belfastu, bo był ostatnim punktem na mapie. Zupełnie wyprana z emocji, patrzyłam na ludzi w pociągu, zastanawiając się co siedzi w ich głowach. Czy wszystko co pokazują swoją postawą światu było prawdziwe? Ile nieszczerości było w ich uśmiechach?

Ostatnie zdjęcie czekało przy pomniku poświęconemu ofiarom katastrofy Tytanica. Nadzieja lubiła chodzić wzdłuż płyty, na której wyryto nazwiska zmarłych. Mówiła, że w ten sposób pielęgnuje pamięć o nich.

- Tyle istnień. – szeptała. – Tak wielu z nich miało całe życie przed sobą. Świat na nich czekał.

Ale przecież ona też je miała. Na nią świat również czekał. I nie wyszła mu naprzeciw. Dokonała wyboru.

Czytałam ostatni fragment, skulona pod kocem, wciśnięta w róg kanapy. *Sylvia Plath*, „*Szklany kloz*”.

„Byłam pewna, że znajdę wówczas odpowiednie słowa, żeby wyrazić to, co mnie dręczy, wytłumaczyć mu, dlaczego jestem tak okropnie przerażona, dlaczego mam uczucie, jak gdyby mnie siłą wpychano coraz głębiej i głębiej do czarnego dusznego worka, z którego się już nigdy nie wydostanę. A potem ten dobry lekarz rozparłby się wygodnie w fotelu, złożył czubki palców dłoni, tworząc małą kościelną wieżyczkę, i wytłumaczył mi, dlaczego nie mogę spać, dlaczego nie mogę jeść, dlaczego nie mogę czytać i dlaczego wszystko, co inni ludzie robią, wydaje mi się idiotyczne, bo cały czas myślę o tym, że na końcu czeka mnie nieuchronnie śmierć.”

Rozłożyłam przed sobą osiem fotografii. Siedem książek z fioletowymi znacznikami. W dłoniach trzymałam mapę szczęśliwych miejsc Nadziei. I wtedy rozumiałam.

Nadzieja zawsze wydawała się mieć dobre życie. Wspierając rodzinę, wielu przyjaciół, kochającego narzeczonego. Wspólny dom, pracę, na którą nie narzekała szczególnie, bo dawała jej możliwość podróżowania. A jednak to nie wystarczało. To wszystko wydawało się nieistotne w obliczu tego jak czuła się wewnątrz. Jakie myśli gromadziły się w jej głowie. Co podpowiadał jej ten okropny głos w środku.

Nie mówiła o tym nikomu, bo była zbyt zajęta słuchaniem. Pocieszaniem, byciem ostoją i wsparciem. Nie mówiła w obawie, że nikt nie wysłucha jej, bo przecież wszyscy mierzyliśmy się z problemami. Zabił ją nasz egoizm, nasza ignorancja. Nadzieja bała się braku zrozumienia.

Pojęłam, że nie trzeba mieć powodów, by zachorować na depresję. Tak samo jak nowotwór, który atakuje młodych i starych. Dzieci i dorosłych. W pełni dotychczas zdrowych i tych ze słabą kondycją. Nie szukał argumentów. Dlaczego depresja miałaby to robić? Ona po prostu przychodzi. Męci ci w głowie, niszczy cię psychicznie i wykorzystuje twoje ciało jako narzędzie do samodestrukcji. Działa bezgłośnie i niezauważalnie. Cichy morderca.

Zrozumiałam, że Nadzieja nie pozostawiła po sobie listu, bo nie potrafiła wyjaśnić. Nie umiała wytłumaczyć co dzieje się w jej umyśle, nie potrafiła opisać tego jak podle się czuje. Sama nie wiedziała czego brakuje jej w życiu. Ona sama nie pojmowała.

Wyjaśniła to wszystko w wyjątkowy dla siebie sposób. Pozostawiając wskazówki w miejscach, które dawały jej ukojenie. Chwilę wytchnienia w bitwie, którą toczyła. Posłużyła się czymiś słowami, bo niekiedy tak było łatwiej. Czasem zbyt trudno było mówić o uczuciach. Zwłaszcza tych mglistych, o których nikt nie chciał słuchać.

Żałowałam. Płakałam, wrzeszcząc w poduszkę, zalewając się łzami, aż wreszcie wypłakałam je wszystkie i żadna kropla nie wypłynęła więcej spod moich powiek. Żałowałam, że nie pozostawiła tych wskazówek wcześniej. Że nie stworzyła tej gry, kiedy jeszcze miałam szansę wygrać. Stawka była tak wysoka.